

Zielwickówna Dawie chtop-  
skie opawieści.



MARJA ZIELEWICZÓWNA

---

DWIE  
CHŁOPSKIE OPOWIEŚCI

---

POZNAŃ 1923 — NAKŁADEM AUTORA  
CZCIONKAMI DRAKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

Fischer i Majewski

Księgarnia Uniwersytecka

T. 1. 1. 2

<http://rcin.org.pl>

31.1.1950



MARJA ZIELEWICZÓWNA

---

DWIE  
CHŁOPSKIE OPOWIEŚCI

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

---

POZNAŃ 1923 — NAKŁADEM AUTORA



—————  
CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

*Wszystkim,  
którzy krwawili stopy  
o cudzą ziemię*





**Wszystko** tedy  
cobyście chcieli, aby ludzie wam czynili,  
i wy im czyńcie.  
Boć ten jest zakon i prorocy.

Jakoż ciasna brama  
I wązka jest droga,  
Która wiedzie do żywota:  
A mało ich jest,  
Którzy ją najdują!

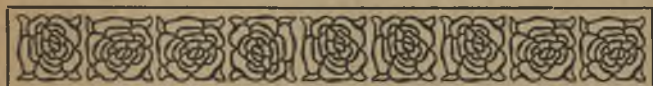
**Wszelki** tedy  
który słucha tych słów moich i czyni je:  
będzie przypodobion mężowi mądremu,  
który zbudował dom swój na opoce.

I spadł deszcz,  
I przyszły rzeki,  
I wiały wiatry,  
I uderzyły na on dom  
A nie upadł.  
**Bo był na opoce ugruntowany.**

*(Ew. św. Mateusza 7)*







**P**przed wielu laty żył człowiek, któremu król powierzył pieczę nad ogrodem swoim. Człowiek ten kochał nadewszystko drzewa i kwiaty. Bywało raz do roku, król kazał otworzyć szeroko bramy ogrodu swego i wolno było wejść każdemu i cieszyć się wszystkim, co kwieci się i rośnie. Aż zdarzyło się, że wielka gromada ludu stanęła opodal ogromnej jabłoni, która właśnie tego dnia zakwitła. Była to jabłoń najpiękniejsza na świecie.

Rzekł tedy król ogrodnikowi: Lud zebrał się i patrzy. Ty jabłoń tę znasz od małej krzewiny. Tyś ją hodował jak matka dziecko. Tyś się jej ręką dotykał; ty i z książek wiesz wszystko o niej i o jablonim jej rodzie. Ty ją znasz. Idź i powiedz ludowi mądre słowo o tem drzewie.

Ogrodnik szedł milcząco pełnić rozkaz pana swego. Ale, gdy się zbliżył do drzewa i gdy go owiała woń czysta a mocna, stanął i utkwiał w jabłoni oczy zachwycone. Potem ukląkł na murawie pod drzewem, spojrział w niebo, które tego dnia było bez chmury i lzy jęły mu toczyć się po twarzy.

Gdy ludzie to widzieli, poodkrywali głowy. Wszyscy uklękli, niejeden zapłakał, a kilku modliło się. Król widząc to, rzekł:

— Oszalałeś, starcze! Mocny dech kwiatu głowę ci zmaćił. Wszakżem ci kazał mówić.

— Panie! Ja o tem drzewie nic nie wiem. Ja nic powiedzieć nie umiem!

Król zamyślił się i nic nie odpowiedział — a ludzie powoli zaczęli rozchodzić się do domów. I nie gniewał się król dobry i mądry; bo usłyszał wkrótce, że ci, co wtedy pod jabłonią klęczeli, wrócili do domów swoich ze sercem oczyszczonem.

\*) Niejeden pragnąłby być tym ogrodnikiem, niejeden chciałby się od niego nauczyć, jak w milczeniu składać hołd rzeczom wielkim i pięknym. Mówiąc dużo o dziełach doskonałych, łatwo im krzywdę uczynić: zmaćić ich ład wewnętrzny, rozkruszyć ich siłę, znieważić poufale dotknięciem ich pierwotną krasę. W każdym wielkiem dziele sztuki jest coś świętego, nie-tykalnego, do czego ze czcią należy się przybliżyć.

Nic łatwiejszego, jak dać się uwieść chęci mówienia i pokazania swej uczoneści i tężyzny umysłowej. Każdy, kto pisze o dziele sztuki a nie jest pozbawiony szacunku dla sztuki, widzi,

---

\*) Odczyt wypowiedziany w Poznaniu w marcu 1912 roku.

że łatwo może się stać pasorzytem, który wymową często nadmierną i całą strojnością swego umysłu osnuje ten cud przyrody duchowej w zawiłą pajęczynę teorii, konstrukcji, domysłów, dowodów, porównań.

Arcydzieła poezji komentarzy nie potrzebują. Potrzebują tylko człowieka, co by je uznał i się niemi zachwycił. One same mówią o sobie wszystko. Same też potrafią się tłumaczyć z usterek i niedoskonałości. A jeżeli jest w nich coś niezrozumiałego, tajemniczego, to owa niezrozumiałość i tajemniczość nie zmniejszą się ani o jotę dlatego, że ktoś napisał do nich komentarze — i jeszcze więcej rzecz całą splątał i zagmatwał. Zwłaszcza porównania są często turniejem umysłowym, grą, gimnastyką, która może doskonale posłużyć do stylistycznego i po części myślowego wyszkolenia danego pisarza, ale dla czytelnika bywa zabawą miłą, lecz nie bardzo pożyteczną.

Jest jednakże uczucie, dające tu prawo głosu, prawo mówienia o dziejach poezji. Oto uczucie wdzięczności dla poety. Wolno człowiekowi mówić o tem, co kocha, co uznaje; wolno każdemu oddać hołd i pokłon dobroczyńcom swoim. Niech wieszczom dziękuje każdy jak umie: za rozkosz estetyczną, za wzruszenie, za chwilę myśli i uciszenia, za nasycenie duchowego głodu.

Szwedzkie gazety donosząc czytelnikom swoim o śmierci Konopnickiej, umieściły jej podobiznę i nazwały ją „polską Selmą Lagerlöf“ nadmieniając, że poetka umarła zawczasie, choćby dlatego, że szwedzka akadejma chciała w najbliższej przyszłości dać jej nagrodę Nobla.

„Polska Selma Lagerlöf“? Śmiałe porównanie! Prawda, że obie wyrażają się w słowie, lecz każda rzeźbi to słowo odmiennym sposobem.

U Selmy Lagerlöf uzdolnienie wybitnie epickie, — z silną przewagą dramatycznych pierwiastków — wolne od tak zwanej ideowości i doktrynerstwa. U Konopnickiej bujny liryzm, wprzęgnięty często w służbę idei i ideałów społecznych, wyzwalający się powoli z tej służby, aby potężnym lotem wzbić się w dziedzinę narodowej mocy, będącej najrdzenniejszym wyrazem odrębności szczepowej.

Jest jednak chwila, gdzie obie poetki zbliżają się do siebie i to tak bardzo, że wyglądają jak siostry bliźniacze, które grają na harfach melodie odmienne, lecz doskonale zgadzają się ze sobą. Tworzy się muzyka niezwykła, potężny dwugłos, rozchodzący się wielkiem dzwonieniem po Szwecji i po Polsce.

Każda z nich napisała opowieść chłopską, narodową i bohaterską. Obie stały się mową ziem swoich w ich najgłębszym pokładzie. Zdołały to uczynić nie tylko dla tego, że były zdolnymi pisarkami, ale i dzięki temu, że same noszą

tę ziemię w sobie przez miłość żarliwą i przez cierpliwe, czujne współzycie z tą ziemią.

We wsi Mora, w północnej Szwecji, w górzystej Dalekarlii stoi na zielonem wzgórzu przed kościołem pomnik z granitu. To Gustaw Vasa Erksson, dziad naszego Zygmunta III, wzywa górali, by mu pomogli wyzwolić Szwecję z jarzma duńskiego. Górale poszli za swoim wodzem i w roku 1523 młody bohater wstąpił na tron szwedzki, kładąc kamień węgielny pod szwedzkie państwo narodowe. Nie łatwa była budowa tego gmachu. Idea państwowa gubiła się co chwila w zamęcie walk domowych, najazdów sąsiadów, w samolubnej polityce paniąt szwedzkich i wyższego duchowieństwa, szukających u zagranicznych dworów poparcia dla celów ambicji osobistej i rodzinnej.

Przez trzy wieki z górą wspierał chłop szwedzki ramieniem swoim ideę szwedzkiego państwa narodowego. Chłopi, z narodowymi bohaterami na czele, wypędzali najeźdźców. Oni ratowali Szwecję, oni ją uratowali. Ten chłop był już w XIV wieku wolnym kmiotkiem, włościaninem, a nawet wtedy, gdy nie władał wolno swoim kawałkiem ziemi czynszownikiem, osiedleńcem i wypłacał się dworowi pracą rąk swoich, lub gdy był robotnikiem folwarcznym i sługą dworskim na mocy prywatnej ugody — nawet wtedy był człowiekiem wolnym. Nie był „poddany“ w wła-

ściwem znaczeniu tego słowa — nie był „glebae adscriptus“.

Dzisiaj słyhać zewsząd w tym kraju: „Bogu dzięki, że chłop szwedzki był już wtedy obywatelom, że mógł Szwecję ratować“.

Pośród tego ludu zajmuje najszanowniejsze miejsce lud górskiej krainy Dalekarlii, mieszkający w szerokich, żyznych dolinach nad brzegami rzeki Dalelfu i nad jeziorem Siljan, szczep rosły, silny, pracowity o starej kulturze, mieszczący w sobie dużo cennych ziarn swojskiej sztuki i rodzimego przemysłu. Odznaczał się pobożnością i pomagał wygrywać bitwy swoim królom-rycerzom z rodu Wazów: Gustawowi I, Gustawowi Adolfowi i Karolowi XII. Mieszkają we włościńskich dworach o starożytniej architekturze, o starych, cennych sprzętach, skrzyniach malowanych, szafach rzeźbionych, pełnych sreber, pięknych płócien-samodziałów, barwnych tkanin i kilimów; chwytają się każdej pracy, w ziemi, w lesie przy drzewie, przy wypalaniu węgla drzewnego; szanują duchownych swoich i nauczyciela wiejskiego, bo poddają się chętnie zwierzchnictwu moralnemu i umysłowemu. Mają w wysokim stopniu poczucie swej godności; nie zdaje im się wprawdzie, aby chłop na zagrodzie równy był wojewodzie, ale do niedawna jeszcze mówili królowi „ty“ — gdy na wypoczynek w ich lasy wyjechał.

I żyje wśród nich przekonanie, że włościńianin dalekarlijski, wolny władcyka swego kawalka

ziemi bać się nie potrzebuje nawet Boga, jeżeli żyje po Bożemu.

Okolo roku 1880 zdarzyło się w Dalekarlii, że wskutek propagandy nowej sekty, gromada złożona z 45 osób z jednego powiatu posprzedawała ziemie swoje i wyjechała do ziemi Świętej.

O tych ludziach opowiada Selma Lagerlöf w powieści „Jerozolima“, napisanej przed 10 laty, po powrocie z dłuższej wędrówki po świecie, w ciągu której dotarła na Wschód, do Palestyny. Żniwo pisarskie poetki szwedzkiej jeszcze nie-skończone, ale wśród tego, co napisała, przedstawia „Jerozolima“ najwspanialszy owoc jej duchowego rozkwitu.

Na naczelnem miejscu w opowiadaniu Selmy Lagerlöf stoi ród Ingmarssonów, włościan zamężnych, dzierżących od kilkuset lat posiadłość „Ingmarsgard“. Nietylko ziemia przechodzi u nich z oca na syna od wielu pokoleń, lecz niezwykle zalety charakteru: prawość, brzydząca się nawet pozorem kłamstwa i sprawiedliwość, brzydząca się nawet cieniem krzywdy bliźniego. Byli to chłopci rozumni, roztropni, oszczędni, zacięci w pracy, żelaźni w cierpieniu. Od wieków Ingmarssony królowali w powiecie, zażywając większego szacunku, niż starosta, sędziowie i panowie w mieście. Nikt się nigdy przeciwko nim nie buntował. Sprawowali te rzady po swojemu — cicho, nawet z pewną pokorą

i z wiecznem zapytaniem w duszy, czy aby dorośli do tego wielkiego urzędu. Znamienne cechy Ingmarssonów, duchowe i fizyczne, były tak wyraźne i utrwalone w mężczyznach i kobietach, że były w oczy nawet tam, gdzie była przymieszka innej krwi — w dalszych krewnych.

Nawet ich dziedziczna brzydota była czemś tak szanownem i uszlachconem, że ludziom miłsze były nieładne twarze Ingmarów niż pospolitsza, beztreściwa uroda.

Gdy wichler religijnych nowatorstw i ruchów sekciarskich zerwał się i zaczął dać po cichych wsiach, mącić spokojność dawnego życia, wrywać z ziemi rodzinnej drzewo za drzewem, aby je rzucić potem daleko, częścią na zagładę, częścią na użyżnienie cudzych łąnów — młody Ingmar Ingmarson stał twardo. Ani drgnął. Na niego czekał stary „Ingmarsgard“, na niego czekało stare berło Ingmarów, na niego czekał stary, pokorny trud chłopskiego życia. Więc on — choć ciągle patrzył w jasne zwierciadło sumienia swego — nie usłyszał w sobie wołania ducha, by rzucił wszystko i szedł do Jerozolimy. On nie miał widzeń ani kaznodziejskich natchnień. Jego natchnieniem, jego jasnowidzeniem był obowiązek: obowiązek pozostania i pracowania w domu.

Na czele owego ruchu nowo-chrześcijańskiego stoi starsza siostra Ingmara, Katarzyna i jej mąż Halfor. Oni są obecnie właścicielami Ingmars-



gardu. Chcą go sprzedać, bo potrzebują pieniędzy na wyjazd do Ziemi Świętej, dla siebie i dla biedniejszych braci — i na wspieranie w Jerozolimie owej świętej społeczności.

„Ingmarsgard“ idzie na sprzedaż. Jest aukcja, licytują posiadłość. Ingmar niema dosyć pieniędzy, by dać najwyższą cenę. Znikąd pomocy. Zaręczony jest z Gertrudą, córką Storma, nauczyciela, dziewczyną bardzo kochaną, ale biedną. Wtem jeden z najbogatszych włościan powiada mu: „Dam 40.000 koron, kupię Ingmarsgard i oddam tobie, bom u ojca twego, Ingmara Wielkiego, pasał kiedyś krowy. Będiesz tak, jak dziady twoje, Ingmarem Ingmarsonem na Ingmarsgardzie. Ale ożenisz się z moją córką“.

Wtedy Ingmar wyrzeka się Gertrudy.

Opustoszały zagrody, połowa wsi wyjechała do Jerozolimy, pomiędzy nimi Gertruda, dawna narzeczona.

Wychodźcy z Dalekarlii wstępują do amerykańsko-szwedzkiej sekty Gordonistów, którzy na zasadach Ewangelji, w ścisłej duchowej łączności, w braterskiej wspólności majątku i pracy, w czystości życia pragną budować Jerozolimę niebieską i czynem dawać świadectwo idei Chrystusa. Do tej Chrystusowej rzeszy przyłącza się lud Selmy Lagerlöf.

Są już tam przeszło rok, doznają udręk najrozmaitszych, cierpią na duszy i ciele. Zdaje

się, że wszyscy zmarnieją i wymrą w tej Ziemi Świętej. Wtedy zjawia się wśród nich Ingmar. Przyjeżdża nie po to, aby klęknąć przy grobie Chrystusa, lecz by dopełnić powinności. Przedewszystkiem względem swej narzeczonej, Gertrudy, której łamiąc słowo, złamał serce.

Gertruda zaniósła Zbawicielowi zbolełą duszę. Ukazał jej się raz w lesie, jeszcze w domu, w Dalekarlji. gdy się zabłąkała, szukając krów swoich. Potem w Jerozolimie żyła nadzieją, że go zobaczy, że mu do nóg padnie, że mu wszystko opowie. Niechby tylko położył rękę na jej głowie, a wszystko umilknie. Nawet pamięć złego zaginie. Chodzi co rano o wschodzie słońca na górę oliwną i czeka, aż Chrystus przyjdzie. Jej współwyznawcy litują się nad nią. Co robić z tą duszą chorą? Niech chodzi na górę oliwną, kiedy jej to ulgę przynosi. Gertruda żyje rok cały jak w obłoku, poza światem, poza sprawami ziemi. Pielgrzymi jerozolimscy piszą o niej do domu i dowiaduje się o tem Ingmar.

On już Gertrudy nie kocha dawną miłością — przywiązał się do żony, której z początku jakby nie widział wcale; pragnie dziecka, syna-następcy, sercem całym jest w domu. Ale Gertrudzie krzywdę wyrządził. On jej duszę okaleczył. Ta dusza krwawi ciągle. Trzeba ją ratować.

Więc Ingmar zostawia żonę, nadzieje najserdeczniejsze, gospodarstwo, dom, dobytek —

i jedzie do Jerozolimy. Jedzie do Gertrudy — jedzie też do innych, jedzie do wszystkich, co wyszli z jego parafji. Ingmarssony byli zawsze ojcami i opiekunami tej ziemi. Radzili, rozstrzygali, bronili słabych, ratowali nieszczęśliwych. Tam, w tym obcym kraju jest garść spora ludu. Prawie najlepsi ludzie. Im podobno źle jest. Trzeba zobaczyć, przekonać się. Trzeba im pomóc.

Pojechał, przebył z nimi rok cały i wrócił. Przywiózł ze sobą Gertrudę i jej narzeczonego, ciotecznego brata Ingmarów. Tym, co zostali, równie się dobrym ojcem okazał. Pod jego wpływem, za radami jego zdrowego, jędrnego rozumu zaprowadzono w ustawach Zgromadzenia Gordonistów zmiany życiodajne. Przywiózł im krwi świeżej, zdjął im z oczu mgły mroczące, swoją chłopską siłą osadził ich mocniej w rzeczywistych warunkach ludzkiego bytu.

Ale wrócił jako kaleka o jednym oku. Drugie oko wydarli mu żydzi jerozolimscy, gdy bronili trumny starej żydówki, którą jej współwyznawcy wyrzucali co noc ze swego cmentarza dlatego, że starowina umarła w szpitalu chrześcijańskim.

Każdy Ingmar spełnił przynajmniej raz w życiu coś wielkiego, coś przechodzącego zwykłą ludzką miarę, co ludzi napełniało czcią, co zostawało w ludzkiej pamięci, o czem dziady opowiadali wnukom. Wtedy zaczynano go nazywać Ingmarem Wielkim.

Na tę największą chwilę czekał każdy Ingmarsson, czekał cierpliwie, wiedząc, że ta chwila przyjdzie. Wtedy z Ingmara drwała i oracza wyrastał Ingmar, rycerz Boży. Niech się nie dzieje gwałt sprawiedliwości. Niech wiedzą, że jest Bóg na świecie. Ciężka prawica Ingmara, spada jak siekiera. Niech się dzieje, co chce! Oczy postradać, nogi i ręce połamać, życiem nadłożyć! To nic! Byle sprawiedliwości stało się zadość.

Treść „Pana Balcera w Brazylii“ to niestara i często powtarzająca się historia chłopskich wychodźców polskich. Siadają w Bremenie na niemiecki parowiec „Kreuz“, tułają się po Brazylii, wymierają, cierpią tyle, ile człowiek wycierpieć może — i po roku wracają do Polski.

Nie wszystkim wychodźcom dzieje się tak źle, jak chłopom Konopnickiej, ale to pewna, że niejednym dzieje się jeszcze gorzej, bo nie każda wędrująca gromada ma wśród siebie pana Balcera, kowala z miasteczka nadbużańskiego, człowieka o silnej pięści, silniejszej jeszcze woli, tęgiego rozumu, gorącej, czynnej miłości bliźniego, wielkiego umiłowania Polski i wszystkiego, co się w tem słowie mieści.

Konopnicka rozpięła płótno swoje między Oceanem a brazylijską puszczą. Przez pustynie morza, przez dziwy i strachy egzotycznej, człowiekowi wrogiej przyrody prowadzi bezbronną, ufną gromadkę ludu polskiego.

Na owo tło olbrzymie rzuca poetka szerokim rzutem obrazy zdumiewające wyrazistością rysunku, świetnością barw, grozą i wdziękiem, gołębią białością ludzkich twarzy, krwawą łuną ich męki i męczeńskiego podniesienia.

Bohaterem poematu Konopnickiej jest lud polski. Gromada, która pod dowództwem pana Balcera jedzie do Brazylii, liczy około tysiąca głów, ludzi z różnych ziem dawnej Rzeczypospolitej — od Buga po Wartę. Są Unicy, Podlasianie, Kurpiowie, Mazurzy, Wielkopolanie, Kujawiacy. Psychika ich opiekuna, kowala pana Balcera — brat jego, Balcerski, jest księdzem w Krakowie — nie przedstawia żadnych zawiłości. Słyszał on w życiu dużo, pewno czytał trochę, lubi zdawać sobie sprawę z tego, co myśli i czuje, ma ciekawość poznawania świata i ludzi — i umie ludźmi rządzić, nie z chęci władzy, lecz dla ich własnego pożytku i bezpieczeństwa.

Pan Balcer jest urodzonym przywódcą. Ma wiarę w siebie i w to, co robi, widzi jasno najbliższą drogę do celu, umie o sobie zapomnieć, zaprzeć się siebie dla dzieła swego. Działa dla tego, że widzi w tem odpowiednie dla siebie zadanie, wyznaczone mu i narzucone nawet siłą okoliczności — wskazane palcem Boga. Owa jego służba, jego posłannictwo, to prowadzenie gromady ludu przez wszystkie stacje jego udręk w Brazylii i doprowadzenie wychodźców do

okrętu, który ich zawiezie przed próg rodzinnego kraju.

Pan Balcer dopełnił sumiennie obowiązku. Odebrał też nagrodę swoją. Wsiadł na okręt w Bremenie jako dzielny, rozumny, zacny kowal — wraca do Polski po roku tułaczki jako chorąży polskiej sprawy.

Za kowalem idą w przedniej straży Unici. Konopnicka i pan Balcer upodobali sobie ten lud hartowny i ziemię ich nad Bugiem, co jest „rzeką łez i męki“. Większość wychodźców wyjeżdża z kraju w nadziei, że za oceanem znajdą lepsze warunki materialnego bytu — nazywa się dla chleba. Unici, oni jedni szukają w Ameryce chleba duszy, wolności wiary i wyznania.

„Dziatki mieć chcemy chrzczone i chowane  
„Po polsku. Chcemy w kościoły i w klasztory...  
„Suplikacji chcemy, litanji  
„Do przenaświętszej panienki Marji.“

Od Narwi my są odporne... Od Buga,  
Od Międzyrzecza, Sokołowa, Biały!...  
Jako tam ziemia szeroka i długa,  
Tak się krwie nasze daleko polały.

Przemierzyliśmy orenburskie stopy,  
Powygniatali więzienne pościele.  
Bosonóż lodu deptali czerepy,  
Trupem przybużne zapchalim kołbiele.  
Pałki w nas biły i pletnie jak cepy,  
A równo w swoim wytrwalim kościele.  
Więc ziemia jaka tam padnie. Byle święta  
Msza ona! Byle one sakramenta.

Pan Balcer z Mazurami, Kurpiami i co mocniejszymi Pińczukami, częścią ludu podlaskiego, staruszką z nad Buga i Horodziejem poszli w puszcę karczować lasy, zdobywać ziemię pod żyto, pszenicę i proso.

Ale puszcza nie dała się — choć walił w nią siekierą dzień i noc najtęższy chłop Mazur, choć rąbali w krzemienne kanele i pinhy polskie Waligóry i Wyrwidęby w nadludzkiem naprężeniu sił z zaciekłością, sięgającą granic szału.

„A chłopcy trwały setnie, nic tej duszy,  
Nie popuszczając głosu ni lamentu,  
Chłop, jak się zawział, to prędzej ukruszy  
Skalki — niż jego. Ma twardość djamentu.  
A jak podźwignie raz brzemień i ruszy,  
Do śmiertelnego już idzie momentu...  
I chyba tylko w tej drodze go strzyma  
Krzywda — a inszej zapory mu niema.“

Jednak puszcza ich zmogła. Przyszli do przekonania, że ich oszukano i że źle i głupio zrobili, rzucając swe zagrody. Postanowili rzucić wszystko i uciekać. Iść, kierując się do morza, przez puszcę, przez stepy, ofiarować Bogu tę drogę — jak do Częstochowy, byle dojść. Czasem cztery, pięć dni nic nie jedli, z dużej gromady została ich tylko garstka, dzieci powymierały, szli w gorączce, czarni, wychudli, Łazarze. wpatrzeni w niebo, wyglądając z nieba ratunku. Jednak doszli. „Chłop dostoi, choć się w nim duszne ruszą fundamenty“.

Po krwawej bitwie z murzynami w podmiejskich plantacjach kawy przenieśli się do miasta i tam krzepił ich nabożeństwem polskim, spowiedzią, kazaniem młody ksiądz Błahota z Podlasia. Pod rządami pana Balcera, skarbnika gromady, pracują jakiś czas w porcie przy ładowaniu węgla, aby zarobić na powrót do kraju. Wreszcie przyjeżdża okręt, który ich za mniejszą opłatą wieść będzie. Przyłącza się do nich do tysiąca Unitów. Ściągnęli z całej Brazylii, ponieważ z Chelmszczyzny przyjechali delegaci z wiadomością, że udręczonej ich ziemi świta nadzieja wolności wyznania i że liczyć ich będą po gubernjach. Gdzie znajdą większość unickiego obrządku, tam pozwolą na mszę polską.

„Czyli ja tutaj będę opisywał  
Dni tych godziny i godzin momenta —  
Jako nad morzem ten lud noclegował,  
Patrzając w gwiazdy, czekając okręta.

Małomówiący był lud i ponury,  
Znać przeznał złego moc, zaparł się w sobie.  
I milczał.”

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu. Wszyscy stoją na pokładzie, pan Balcer z nimi.

„Wtem strzał. Odhukło setnie dookoła.  
Znak to, że ocean czeka już, że woła.”

Tu kończy się opowiadanie Konopnickiej.



Niech mnie strzeże helikoński Apollo, abym kusić się miała o rozsądzenie, kto większe i piękniejsze dzieło napisał, Selma Lagerlöf czy nasza poetka. Zastanawianie się nad tem byłoby równie bezpłodne, jak pytanie, co więcej cieszy oko? — święty dąb stary w skandynawskim lesie, wtórujący szumem szumom Bałtyku, czy niebosięzna sosna w Tatrach, cudownie bolesna w samotnem wywyższeniu swoim?

Zdaje mi się, że każdego, komu zdarzyło się czytać prawie równocześnie „Jerozolimę“ i „Pana Balcera w Brazylii“, uderza podobieństwo różnych sytuacji. Są tu i tam karty, któreby można postawić obok siebie, czytać je naprzemian i w jednej łzie skropić żal swój nad niedolą ludzi, tak obcych sobie usposobieniem, obyczajem, a tak blisko spokrewnionych swoją wieśniaczą przeszłością, czystością serc i tęsknotą za tem, co rzucili.

Polscy wychodźcy siadają w Bremenie na parowiec „Kreuz“ — dalekarlijskim ludziom nazajutrz po ich przyjeździe do świętego miasta przynosi przed dom krzyż jakiś biedny obłąkany, który tam od kilku lat chodził z krzyżem po „Via Dolorosa“, szukając kogoś, coby był godzien wziąć ten krzyż od niego. Zaczyna się dla nich rok okropny. Zabija ich upał nieznośny, brak wody, brak zwykłych zajęć, brak zdrowej, jędrnej, rodzimej przyrody. Trawi ich go-

rażka religijnego zachwytu, ciąży nad nimi kamienny smutek świętego miasta. Umierają jeden po drugim, dzieci i młode dziewczyny, mężczyźni w pełni sił. Jeden umarł poprostu z rozpaczy, że go oszukano, że to brudne, spiekle miasto z pstrą, wrzaskliwą, złodziejską mieszaniną azjatyckiego tłumu — to nie owa cudowna Jeruzolima, owe miasto niebieskie, które widział na obrazie i o którym ciągle śnił.

Chorują wszyscy na febrę — a tu tylko ząęchła woda w cysternach. Tam w Szwecji, w górach, takie wartkie potoki, takie źródła srebrne, takie rzeki czyste. Takby się tam napić można. Choć kubek wody z Dalelfu!

Cierpienia ich są oczywiście tylko umartwieniem w porównaniu do tego, co znoszą towarzysze pana Balcera. Jednak rzecz dziwna, choć pan Balcer jest kartą z martyrologji ludu polskiego, jest tam więcej humoru i wesołości, niż w dwutomowej książce Selmy Lagerlöf.

W „Emigranckim Domu“, gdy polscy wychodźcy czekają na komisarzy brazylijskich i na rozdanie ziemi, tańczą sobie nawet na rozweselenie oberka. tańczą z takim artyzmy i zapaśniętaniem, aż się na nich gniewa Horodziej, który im księda zastępuje.

Lud Selmy Lagerlöf jest prawie jednostajnie stateczny, skupiony, poważny. Rzadko tam przychodzi do wybuchu wesołości lub rozpaczy.

Te odmienności plemienne jaskrawo rzucają się w oczy. Oto kiedyś, przed laty, za czasów młodości dziada Ingmara, rozmawia jego narzeczona z wiejską przekupką, która ciastka roznosi po zagrodach. Rozmawiają o Ingmarsonach:

— Słyszałam zawsze, że dobrze temu, co się dostał między Ingmarsonów — mówi stara.  
— To zacny ród.

— Tak — odpowiedziała dziewczyna — to ród zacny.

— To najzacniejsza rodzina w parafji — mówiła dalej przekupka — to ludzie prawi.

— Tak, nie uchodzi to za bezprawie brać gwałtem żonę — mówiło dziewczę.

— I to mądrzy ludzie!

— Mądrzy, ale choć i co wiedzą, to nic nie powiedzą.

— Czy nigdy nic nie mówią?

— Żaden z nich nie powie więcej niż to, co koniecznie potrzeba.

A pan Balcer martwi się, gdy jego drużyna milknie, „jakby w języku skreśliło mu szprychy“.

Unitom zamknął usta kat moskiewski, ale Mazurzy, Wielkopolanie są mowni, milczenie jest u nich oznaką, że się coś w duszy popsuło.

Lud szwedzki, rozrzucony rzadko po dużym obszarze swego kraju, jest ludem samotników. Mało tam wsi, gdzie chata stoi gęsto przy chacie. Większe gospodarstwa stoją sobie oddziel-

nie jak małe folwarki, a biedniejsi mieszkają po lasach, na stokach wzgórz, na ciasnych polankach, w małych górskich kotlinach, aż ich tam trudno odszukać; za siódmą górą, za siódmą rzeką. Jedna osada ludzka od drugiej o kwadrans, o pół godziny drogi; gdy śnieg drożynę zasypie, trudno dotrzeć do sąsiada; mało jest sposobności do improwizowanej gawędy, do podzielenia się wiadomościami. Widują się w kościele, na uroczystościach rodzinnych, na ucztach dość częstych, ale już to nie to samo, co rozmowa przy płocie albo przy praniu w strudze. Ludzie odwykli od siebie, mówią ze sobą uprzejmie, lecz uroczyście i nadzwyczaj oględnie.

Lud Selmy Lagerlöf „w Jerozolimie“ jest tem więcej skupiony i zamknięty w sobie, bo przyroda, wśród której żyje, napełnia dusze uczuciem wielkości.

Jest w tych ludziach dostojność, niedzielna cisza i powaga. A że są chrześcijanami nie tylko z nazwiska, lecz z koloru duszy i tkaniny życia, że bliźniego chcą nie tylko kochać jak samego siebie, ale i szanować jak siebie samego, więc są w rozmowie nieśmiali, ostrożni. Boją się, żeby kogo nie urazić, nie zadrasnąć, nie zaognić prędkim słowem cudzej bolączki, nie dotknąć się cudzej blizny. Unikają pytań. Uchodzi za brak wychowania pytać się dużo. Choć się na co ciekawią, uważają, że wypada czekać, aż ktoś sam zacznie opowiadać o sobie! I wtedy

nie okazują zbytniego zadowolenia, nie gwałcą wyznań i zwierzeń, bo sami potrafią zamknąć się w sobie i nosić całe lata w sobie duszne ciężary, więc wiedzą, że nie łatwo przychodzi człowiekowi odewrzeć zardzewiałe wrzeciądże duszy. Boją się, że usłyszą zgrzyt i bolesne skrzypienie.

Ingmarsony trzymają pochyło swoje wysokie postacie, jakby ich gniotła dwojaka troska: najpierw, by nie zająć miejsca wyższego, niż im się należy mocą osobistej zasługi i wartości, powtóre, czy aby nie są natrętni.

Kiedy Ingmar przyjeżdża do Jerozolimy i idzie na rozmowę do starszej siostry swojej Katarzyny, stojącej na czele szwedzkich Gordonistów — ona cieszy mu się bardzo, bo go kocha i dumna jest z niego. Ale trawi ją ciekawość, dla czego Ingmar przyjechał do świętego miasta? Wie, że się nie nawrócił, że jest tym, którym był dawniej. Więc dlaczego puścił się w tę drogę długą, męczącą? Niepokoi ją to zagadnienie, rozmawiają już godzinę, mówią o wszystkim, o tem, co się w domu, we wsi dzieje — ale nic to nie pomaga. Nie dowiedziała się jeszcze, dla czego Ingmar właściwie przyjechał. Nie może sobie dać rady, tak ją ciekawość dręczy, i już, już otwiera usta, już chce zapytać, ale nie! Przemogła się. Odkąd Ingmary Ingmarami, nie słyszano, aby ktoś z nich pytał się w ten sposób. Uszanowała tradycję rodziny.



Chciałam powiedzieć, że, o ile różnią się Ingmary od pana Balcera, o tyle odmiennym jest język obu poetek — ich artystyczne narzędzie. Lecz byłaby to prawdy połowa, bo ta różnica wynika nietylko z odmienności szczepowej Selmy Lagerlöf i Konopnickiej, lecz równie, a może i jeszcze więcej, z głębokich, zasadniczych różnic duchowości osobistej poetek. „Jerozolima“ i „Pan Balcer w Brazylii“ to opowieści proste i wielkie o rzeczach prostych i wielkich. Skarga by powiedział o rzeczach pospólnych. Język jest tu i tam zdrowy, a mocny. Taki język dla nas ludzi książkowych — jest dobrodziejstwem jak strawa pożywna, od której sił przybywa. Nasza mowa, ludzi czytających i piszących, jest bezkrwista, blada, dająca zamiast rzeczy samej jej cień, jej pojęcie. Ale tam w „Jerozolimie“ i w „Panu Balcerze“ inaczej mówią. Tam mowa ma mocny kręgosłup z ziemi. To krągła, rumiana, chłopska mowa.

Selma Lagerlöf wykuła ją w granit poetyckiej prozy — Konopnicka w marmur cudownej oktawy.

Jest w „Jerozolimie“ zwięzłość i wstrzeźliwość dramatycznego wyrazu. Słowo jest jak wyprężona struna. Skromne ono, bez żadnych ozdób i strojności. Ale to ubóstwo tylko pozorne. Jest nabiegłe krwią myśli i czucia. Jest nabrzmiałe treścią.

U Konopnickiej jest słowa więcej. Ono wylewa się bujniej, tryska w górę gwałtowniej.

Pan Balcer nie jest gadatliwy, jednak lubi i potrafi mówić i ceni dar mowy.

Zarzucono Konopnickiej, że opowiadanie „Pana Balcera” razi tu i owdzie sztucznością. Trudno zamilczeć, że jest coś prawdy w tym zarzucie.

Konopnicka jest zbyt wielką mistrzynią słowa, aby mogła być sztuczną w swem najdoskonalszem dziele. To, co się w „Panu Balcerze” mniej podoba, to nie brak prostoty, lecz pewien rozdźwięk między prostą duszą pana Balcera, który rzecz całą opowiada, a ogromnem bogactwem artystycznych środków poetki, rozkwitem jej mowy, przepychem wyobraźni, polem jej ducha, ekstatyczną siłą jej czucia.

Wykreślenie przekątnej linii między poetką, a panem Balcerem było niezmiernie trudne. Czasem jest tłok szczegółów, zbytek porównań, nadmiar obrazów. Język zawsze piękny sam w sobie i pełen umiarkowania, ale mimo to rozgrywa się walka między kowalską sukmaną pana Balcera, a tem, co ów język chce wypowiedzieć, co rozdziera samodział tej sukmany i bije w górę, w płomiennych językach.

„Jać tylko oto przygrywam piosenkę.  
Za wyprzednika jestem i za posła..  
Zaś przyjdą, którzy mają lekszą rękę  
Niż moja, co jest twardego rzemiosła..  
Ci śpiewać będą pracę tę i mękę,  
I będzie światem ogromna pieśń rośła,  
Z której ten naród polny, te prostaki  
Wylecą w słońce jako krwawe ptaki.”

Trudno odpowiedzieć na pytanie, czy epopeja Konopnickiej byłaby doskonalszym dziełem ludzkiego ducha, gdyby poetka była chciała lub potrafiła więcej zaprzeć się siebie w celu nadania dziełu swemu postaci więcej jednolitej i posągowej?

Podjęła zamiar bardzo trudny, jeżeli się zwłaszcza weźmie pod uwagę charakter epiczny jej dzieła, a przeważnie liryczną naturę jej genialnego uzdolnienia. Wywiązała się z tego zadania — mimo usterek — doskonale. Nie jest to puste słowo, że w wielkich rzeczach dosyć jest chcieć. Bo temu chceniu towarzyszy zwykle choć na trzy czwarte drogi siła czynu i dopełnienia.

W opowieści Selmy Lagerlöf każdy ma twarz odrębną, wyrazistą.

Żłobi te twarze dusza i cicha z nią rozmowa. Napiętnowane są rozważaniem. Obok Ingmara stoi w blaskach natchnienia i zachwytu jasna postać Gertrudy, która płótna swoje przetyka błękitnymi różami poetyckiego piękna. Jest w „Jerozolimie“ kilkanaście postaci, a każda z nich jest całym człowiekiem: Barbara, żona Ingmara, Katarzyna, jego siostra i mąż jej, Halfor, naczelnik owej religijnej ruchawki; apostoł nowej myśli, Hellgum, typowy uwodziciel dusz; nauczyciel wiejski Storm i jego żona, proboszcz, który choć nie jest świetnym kaznodzieją, ma na swoich



parafjan wpływ znaczny i stoi na straży starych, świętych tradycji tego ludu, zabobonny, na wpół pogański drwał, opiekun bohatera. To w domu. w Dalekarlji — a w Jerozolimie młody krewniak Ingmarów, któremu po długich zabiegach udaje się zdobyć miłość Gertrudy.

Jest ten młody Szwed nierzadko spotykanem w Skandynawji połączeniem hartownej dzielności ze słodyczą i wdziękiem. Wreszcie — nie Szwedka to, lecz Amerykanka anglosaska — bardzo dla psychologa zajmująca postać pani Gordon, założycielki i organizatorki Zgromadzenia Gordonistów.

U Konopnickiej z tysiącznej gromady wychodźców wybija się tylko kilka postaci wyraźnymi, duchowymi rysami. Unici — jako całość psychiczna — Horodziej, duchem czujący i widzący, w najkrytyczniejszych chwilach roznieca w swoich towarzyszach prostem słowem, modlitwą, świętą pieśnią ostatnią iskierkę mocy i wytrwania — staruszka z nad Buga, święta i zachwycona — pewno ją dręczyli, pewno w jej oczach dzieci katowali i zabijali. Ona już cała promienista, w niej z ziemskiej gliny pozostała tylko ta biała, podlaska płótnianka. Ona zamyka oczy konającym i modli się nad nimi, ona w puszczy i na stepie zawodzi wieczorami jakieś dziwne pieśni, nawpół jasnovidzenie, nawpół płkanie. Ludzie słuchają, biją się w piersi i chylą głowy przed tajemnicą, czując, że Bóg jest między nimi.

Reszta postaci chłopskich w poemacie Konopnickiej pojęta jest raczej po malarsku; fizjognomje pełne siły lub pełne wdzięku, ale jako charaktery mało zróżniczkowane. Hanka, która za trupem dziecka skoczyła w morze, Zośka jak wiśnia, Jelenka Zukówna, Kurpianka, jagoda borowa, dla której biło starokawalerskie serce pana Balcera; Salusia, kwiat szczerobiały „jak ta śniegułka w czarnym boru wiosną“, nieszczęsna Marychna Dudkowa, co z dzieckiem szła przez stepy.

„Więc Łuc Ostąńczuk, więc Bandys, chłop tegi,  
Dobry na zimno, dobry na gorąco,  
Więc Piotr Zagajny, co nic prócz siermięgi  
Nie wyniósł z chaty z tą drogą ciekącą,  
Więc Zięba Wawrzon, co garść miał jak cęgi,  
A skórę srodze do łupnia świerzbiącą,  
Więc Łuka, Bugaj, więc Kos, więc Sołoda...  
Co liczyć?... Naród płynął tak jak woda.“

Nie znaczy to, by lud polski był tak pierwotny i duchowo niezłożony, iżby się nie nadał do psychologicznego rysunku. Poprostu nie ma w poemacie miejsca dla nich, aby się rozszerzyli, bo tam chodzi o całość, o gromadę, o ten naród płynący.

Kilku wierszami stworzyła Konopnicka zagadkową, szekspirowską postać strażnika emigranckiego domu.

„A w coraz insze ubiory przybrany,  
Jak Włoch się nosił, Francuzy, Hiszpany.“

Dla czego? Żeby nie czuć własnej skóry.

„Własna mnie skóra mierzi, że się tuta —  
Polak — znajduję na cudzym śmietniku!  
To mi polskiego, uczciwego buta  
Żal jest i chodzę w francuskim trzewiku.  
Kapoty polskiej też żal, bo za suta,  
Za dobra! Lżej mi w hiszpańskim mentliku.  
Gdy więc tu naród przeróżny umiera  
I łachy ciska, to się człek przebiera,  
Jak mu tam padnie... A zasię co z domu  
Szczędzi. Do trumny przyda się na pochów...”

Ten strażnik Konopnickiej powinien stanąć obok Sienkiewiczowskiego „Latarnika“, od tamtego smutniejszy, więcej beznadziejny — a jako charakterystyka jest wzorem owego skrócenia, które się tylko mistrzom udaje.

Ludowi polskiemu na pokrzepienie serca daje Konopnicka księdza Błahotę. Jego płomienne, polskie kazania zasłynęły szeroko po mieście.

„A choć tej mowy nikt w ząb nie rozumie,  
Coś jakby Boży Duch latało w tłumie.  
On zaś serdeczne kojący tęsknoście  
O królu Sobku prawił, o Kościuszcze  
I własnej duszy wylewał wonnoście  
Na te mazurskie pola, Litwy kuszce,  
Po głosu swego leciał złotym moście,  
Zatokowany w Polsce jak te głuszce,  
Że choćby biskup dzwonił od ołtarza,  
Jako mszę dalej trzeba — nic nie zważa.”

W porcie zapoznaje się pan Balcer z Zabudą, jedynym właściwie w poemacie Konopnickiej przedstawicielem klas ukształconych przechowujących historyczne tradycje dawnej szla-

checkiej Rzeczypospolitej i pielęgnujących dzisiaj w swem łonie duchową szlacheckość i wielkopańskość narodu polskiego. Zabuda jest niestety wykolejeńcem i pijakiem i ma świadomość swego upadku. Ale umiera jako bohater.

\* \* \*

Gdy uchylimy drzwi od owej komory, w której obie poetki przechowują swoje tkackie narzędzia i nici do robót swoich — wpadną nam od razu w oko dwa potężne kłębki. Na jednym napisane dramatyczność, na drugim malarskość.

Nie wiem, czy jest w nowszej poezji dzieło, w którym „epos“ opowiadanie byłoby tak przetkane ruchem dramatycznym — nie ruchliwością teatralną, krzątaniem się ludzkim — ale ruchem psychicznym, życiem duszy, rozmową we dwoje, we troje, z sobą samym. W „Jerozolimie“ potrafią ludzie rozmawiać sami ze sobą. Zdumiewającym przykładem tej umiejętności jest początek „Jerozolimy“. Oto dziad, Ingmar Wielki — było to za czasów młodości — wyjechał raz z pługiem w pole i przy orce rozprawia się ze swoim sumieniem. A że sprawa była bardzo zawiła i nie może sam dać rady rozterce, idzie więc w myśli do świetlicy niebieskiej poradzić się ojca i wszystkich dziadów Ingmarów w niebie.

Jest to jedna z piękniejszych kart poezji.

Selma Lagerlöf opisuje niewiele — mówię zawsze o „Jerozolimie“ i tylko o tej książce.

Gdzie inni opowiadają, tam ona urządza dramat, ucłowiecza nawet przyrodę, rozdaje głosy. Sprzętów, ubrań, krajobrazów, łąk, gór, lasów — prawie wcale nie opisuje. To wszystko jest tam, ale jest dla tego tylko, że jest człowiek, który w tem żyje. Wszystko co nie jest człowiekiem, nie ma w Jerozolimie samoistnego życia. Istnieje dla człowieka i przez niego. Jest w tem pojmowaniu świata zewnętrznego prawda psychiczna i artystyczna mądrość. Człowiek czynny, bardzo zajęty, czy to pracą rąk czy myśli, nie przypatruje się wiele światu zewnętrznemu, choć odczuwa go żywo i ciągle się z nim łączy. Ale nie ma poprostu czasu na szczegółowe oględziny. Gdy mu na przykład sad na wiosnę zakwitnie, cieszy się, że tak ładnie, że owocu dużo będzie i obejmuje ten sad krótką, radosną myślą, jakby uściskiem; ale nie przyjdzie mu na myśl, aby w kontemplacji wodzić długo okiem po tym sadzie i uświadamiać sobie, jak to drzewo wygląda o wschodzie słońca, a tamto o zachodzie.

Może dlatego powieści Selmy Lagerlöf tak bardzo i tak powszechnie się podobają, bo człowieka najprawdziwiej i najżywiej zajmuje ostatecznie człowiek, a wszelkie choćby najpiękniejsze opisy martwych i na wpół świadomie żyjących rzeczy nużą go i nudzą.

Gdy mowa o dramatyczności „Jerozolimy“, trudno zamilczeć o tem, co z tą dramatyczno-

ścią stoi w najściślejszym związku: o muzyczności i o nastroju.

Z przyrody potrafi Selma Lagerlöf wydobyć krzyk, grozę np. wiosenny huragan podczas tańców w nocy w chacie starego drwala.

Jest pełno muzycznych motywów, bo te się rodzą z nastroju, którego szwedzka poetka jest panią i mistrzynią. Tę jej sztukę trudno nawet tłumaczyć, jako, że nastrój wyczuć trzeba. Jest nastrój w każdym wielkim poecie, ale zdarza się, że czytelnikowi trudno dostroić się do tego tonu, a tu w „Jerozolimie“ poetka, nie dosyć, że gra na jakimś przedziwnym instrumencie, prostym a doskonałym, ale jeszcze ma w ręku coś, czem sobie słuchaczy w mig dostroi, tak, że każdy słucha i rozumie, o co chodzi.

Takim jest odjazd ludu szwedzkiego z Dalekarlji, takim jest wjazd pielgrzymów do Palestyny, gdy w łodziach, odświeżeni ubrani, poważni, uroczyści, przybijają do ziemi, po której Chrystus chodził.

Takiem arcydziełem nastrojowej liryki jest rozmowa dwojga młodych, Gertrudy i Bo, o zachodzie słońca pod sykomorą o Jezusowych słowach: „Jeżeli się nie staniecie jako dziatki, nie wniejdziecie do królestwa niebieskiego“. Ewangeliczne tchnienie drży tutaj w powietrzu nad nieszczęśliwym miastem Chrystusa.

Taką strofą muzycznego dramatu jest przybycie Ingmara do Jerozolimy:

„Pewnej niedzieli po południu — opowiada Selma Lagerlöf — gdy już półtora roku byli chłopcy w Jerozolimie, zebrali się wszyscy na nabożeństwo. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i zima nadeszła, ale dzień był bardzo łagodny i ciepły, tak, że otworzono okna w wielkiej sali kościelnej.

„Właśnie śpiewano psalmy, kiedy usłyszano dzwonienie u drzwi wchodowych. Było to ciche, nieśmiałe dzwonienie, tylko raz coś zadźwięczało; gdyby nie to, że okna były otwarte, niktby nie usłyszał. Jeden z chłopców, siedzących blisko drzwi, wstał i poszedł otworzyć i potem nikt już nie myślał o tem, kto tam przyszedł.

„Chwilę później usłyszano ciężkie stąpanie po marmurowych schodach. Ktoś szedł wolno, ostrożnie. Gdy wszedł na ostatni stopień, zatrzymał się. Widocznie stał długo i namyślał się, zanim jeszcze wolniej i ostrożniej zaczął iść po marmurowej podłodze do dużego przedsionka przed salą kościelną. Wreszcie położył rękę na kłamce i nacisnął ją. Drzwi odemknęły się na świerć cala. Dalej widocznie ten człowiek nie miał ochoty wejść.

„Zaraz, gdy usłyszano kroki, ludzie z Dalekarlji mimowoli przyciszyli głosy, aby lepiej słyszeć. Teraz wszyscy obrócili twarze ku drzwiom. To ostrożne otwieranie drzwi było im tak dobrze znane. Po prostu zapomnieli,

gdzie są. Zdawało im się, że w domu, w Dalekarlji, siedzą po chatach swoich. Ale prędko opamiętali się i utkwili oczy w książki.

„Drzwi rozchyliły się cicho, ale człowieka, co stał za drzwiami, nie było jeszcze widać. Katarzynie Ingmarsonównie i kilku innym przeleciał płomień po twarzy, choć starały się trzymać myśli na wodzy i śpiewać dalej razem z innymi. Ale mężczyźni zaczęli śpiewać silniejszym głosem i mocniejszym basem niż przedtem, nie troszcząc się o innych.

„Wreszcie drzwi odemknęły się szerzej i wysunął się z nich mężczyzna wysoki, nieładny i usiłował precyzyjnie się przez to wąskie wejście. Wielka pokora była w jego postawie. By nie przeszkodzić nabożeństwu, nie śmiał iść dalej, lecz stanął zaraz za progiem z pochyloną głową i splecionemi rękoma.

„Ubrany był w piękny, czarny, sukienny surdut, który marszczył i fałdził się na nim. Ręce wystawały z mankiet pomiętych i były duże, o ogromnych żyłach pod skórą. Twarz miał dużą, piegowatą, z białemi jak śnieg brwiami, wystającą dolną wargą i ostrym wyrazem w ustach.

„W tej samej chwili, gdy przybysz ukazał się we drzwiach, Ljung Björn podniósł się i, stojąc, śpiewał dalej. W następnej chwili wszyscy ludzie z Dalekarlji, starzy i młodzi, popowstawali tak jak Ljung Björn i, stojąc, śpiewali dalej.



Nad książką trzymali twarze i żaden uśmiech nie rozjaśnił ich. Tylko od czasu do czasu błysnął ten i ów wzrokiem ku temu, co stał przy drzwiach.

„Lecz nagle śpiew stał się mocny jak ogień, który ożył od tchnienia wiatru.

„Cztery Ingmarsonówny, z których każda miała głos piękny, wzięły nutę i był w śpiewie pęd i wesele jak nigdy przedtem.

„Zaś Amerykanie patrzeli po chłopach i dziwili się, bo ni stąd ni zowąd zaczęli wszyscy śpiewać po szwedzku.“

Jest tu motyw do szwedzkiego hymnu narodowego.

W opowieści Selmy Lagerlöf może czerpać natchnienie człowiek, myślący w dźwiękach. A „Pan Balcer w Brazylii“ jest skarbnicą wrażeń dla człowieka, myślącego w liniach i w kolorach — dla malarza.

Każde genialne uzdolnienie jest z natury swej mniej albo więcej wszechstronne w danym zakresie. Samo się przez się rozumie, że i Konopnickiej nie brak żywiołu dramatycznego, że i ona jest wielką magnetyzerką serc, że ta, co śpiewem wieszczy, pełna jest melodji i muzycznych pierwiastków. Lecz gdy chodzi o pochwycenie jej odrębności, o wyciągnięcie z jej dzieła tej właśnie nici, która ciągle powraca, którą ona sobie sama uprzedła i którą najświetniej tkać umie — zdaje mi się, że tą nicią

jest w „Panu Balcerze“ zdolność wywoływania w czytelniku barwnych widzeń.

Konopnicka posiada ten dar w stopniu tak wysokim, że wywołuje nieraz uludę wzrokową — halucynacją obrazu.

Poemat o „Panu Balcerze“ prosi się o to, aby znalazł się w Polsce człowiek, któryby wymalował to, co pan Balcer opowiada.

Możeby jeden człowiek nie podolał wszystkiemu. Trzebaby krakowskiego Tetmajera do chrztu dziecka na okręcie i do spotkania się tułaczy na brazylijskim targu z osiadłymi pod miastem Kujawiakami. Trzebaby może Jacka Malczewskiego do Horodziejowych kazań, do pochodu przez stepy, do śmierci Horodzieja, do modlitewnych zawodzeń chłopskiej wieszczki z nad Bugu. Trzebaby Kossaka do walki Mazurów z murzynami. Trzebaby polskiego Rodina do rąbania puszczy. Przy Unitach stanąłby Grottger. Pod koniec spowiedzi księdza Błahoty zjawiłby się Matejko.

„I wam spowiadam się, chróściane płoty,  
Com was rozgrodził, gdy wicher się srożył...  
I tobie, dachu mój, snopami złoty,  
Gdzie Bóg mi bronę na gniazdo położył...  
I wam, ojcowie mogiły — sieroty,  
Którem o proch swój i kość swą zubożył...  
Psu przykaż proga, a będzie ci leżał,  
A jam cię, ziemio rodzona, odbieżał!...  
Nie miłowałem, jakom miał miłować,  
Alem cię przedał jak Judasz za myto...

Nie bojowałem, jakom miał bojować.  
Za ciebie, coś jest na krzyżu przebita...  
Nie zachowałem, co miałem zachować...  
Zdradziłem chatę lipami nakrytą,  
Która chowała mnie jak matka syna —  
Zdradziłem!.. Moja wina!.. Moja wina!..”

. . . . .  
. . . . .

W „Jerozolimie” i w „Panu Balcerze w Brazylii” najpotężniejszym czynnikiem duchowego życia ludu wiejskiego jest wiara, kościół, obrządek. U Selmy Lagerlöf występuje pierwiastek religijny na pierwsze miejsce, ponieważ chłop szwedzki, przywykły do wczytywania się w Pismo święte i samodzielnego kształtowania swego stosunku do Boga, szuka niespokojnie nowych dróg do urzeczywistnienia w życiu ideału etycznego.

W Szwecji roi się dzisiaj od sekt różnych, rozsadzających jednolitą pierwotnie budowę szwedzko-luterskiego kościoła. Zarzucano Selmie Lagerlöf nadmiar „mistycyzmu” w „Jerozolimie”, rozumiejąc pod mistycyzmem różne niezwykle stany duszy, do których nauka o duszy klucza jeszcze nie znalazła, a które materialistyczne przyrodoznawstwo z połową XIX wieku zdegradowało do dziedziny choroby i maniactwa.

Pan Balcer, jako kowal o mocnej strukturze i zdrowych nerwach, nie ma też do tych spraw przekonania i uważa je za „oczadzenie”, za tuman na mózgu, dodając, że „owe rzeczy podniebne jak chleb są niewiastom potrzebne”.

Te objawy, wywołane u ludzi prostych wielkiem napięciem religijnego uczucia, rozpatruje Selma Lagerlöf ze sprawiedliwością umysłu jasnego, zrównoważonego.

Tylko w jednym przypadku zostawia czytelnika w niepewności, a sama cofa się jak widz nieśmiały i ukazuje ręką rzeczy między niebem a ziemią. Oto Ingmar we śnie daje pani Gordon, będącej także we śnie czy w półśnie znak, by wracała czempredzej z Jaffy do Jerozolimy, bo jej zgromadzeniu grozi niebezpieczeństwo. Oboje ci ludzie, pani Gordon i Ingmar, są ludźmi zdrowymi w zwykłym znaczeniu tego słowa, wnikającymi doskonale w szczegóły życia codziennego; ona praktyczna anglo-saska gospodyni i kierowniczką zgromadzenia; on, wiadomo, chłop-gospodarz. Ale stoją oboje na znacznym wywyższeniu duchowem. Ona wpatrzona w swoją ideę nowochrześcijańską, on w szczytne pojęcie obowiązku. I są oboje czyści, więc duch ich doskonale władnie ciałem. Kto tu wierzyć wogóle potrafi, chętnie uwierzy, że w danej chwili wydobędą z siebie moc taką, że myśl ich wyjdzie z ciała i pójdzie tam, gdzie oni ją poślą. A jak dwie baterje elektryczne stoją ze sobą w tej chwili w związku wspólną troską o dobro zgromadzenia.

Szwedzka poetka stanęła tu nad ciemną głębią ludzkiej duszy i pochyliła się nad nią z laską w ręku.

W „Panu Balcerze w Brazylii“ wierzy lud polski dawnem dziecięcym wierzeniem, że Pan Bóg upodobał go sobie najwięcej ze wszystkich ludów na świecie, że Pan Jezus i Matka Boska mają nasz kraj w swej szczególniejszej opiece. Być może dzięki temu przekonaniu, gromadka wraca żywo z Brazylii, bo w wierze swej czerpała nadludzkie moce. Duch tego ludu leci w niebo jak gołąb biały o krwawych piórach na piersi.

Selma Lagerlöf i M. Konopnicka wyprowadzają lud swój z wiejskiej zagrody i idąc przed nim z krzyżem, prowadzą go przez morze w świat daleki. Z krzyżem w rękę przyprowadzają go po odbytej pielgrzymce do domu. Ale nie idą już samotne na czele pochodu. Obok Selmy Lagerlöf idzie powoli Ingmar Ingmarsson z żółto-błękitną chorągwią w rękę, koło Konopnickiej kroczy pan Balcer z sztandarem czerwono-białym.

Obie poetki podjęły w dziełach swoich tylu różnymi wynikami brzemienne zagadnienie emigracji, będącej już to samookaleczeniem narodu, już to nieuniknionym ruchem odśrodkowym, który jednakże zamienia się często w ruch powrotny, dośrodkowy, niosący w naród, w ziemię pierwiastki, nieco inaczej przyprawione, lecz pożywne, świeże, dodatnie. Tem się pociesza pan Balcer, mówiąc o boskich dekretarzach, tem się pociesza Konopnicka, tem się pociesza — choć nie głośno — Selma Lagerlöf, której przeszło

2 miliony ziomków mieszka za oceanem, podczas gdy w Szwecji jest ich tylko niespełna 6 milionów.

Umysłem godzą się obie poetki na emigrację, ale sercem zgodzić się nie mogą, zwłaszcza, że do Jerozolimy jadą chlōpi pod wewnętrznym przy-musem religijnej uludy, a chlōpi polscy ciągną do Ameryki bardzo często nie wiadomo pogo i są do tamtejszego życia zupełnie nieprzygotowani.

„Jeszcze pół biedy, gdy mocna w kim dusza,  
A głowa górą na życia głębinie.  
Taki nie tonie, choć fala nim rusza,  
Da nura, strząchnie się i znów wypłynie.  
Alić to rzadka rzecz u chudeusza,  
Co w książkach nie żył, nie bywał w łacinie,  
I tyle tylko wie, że ma do woli:  
Lub zginać marnie, lub nie dać się doli.  
Ano, nie dałem!”

Jeżeli Selma Lagerlöf cierpi nad poniewierką swoich ludzi, to stokroć więcej cierpi Konopnicka, która wie, że dzisiaj przed tułaczem-Polakiem nie stąpa narodowa sława z wieńcem laurowym na czole, bo narodowej sławie zwykły torować drogę milionowe armje i pancerniki. Za Polakiem-tułaczem nie idzie w świat nic — prócz miłości ziemi rodzinnej i jej wspomnienia. Nie idzie nawet za nim urok nieszczęścia, bo o tem nieszczęściu — oprócz tych, co z niego korzystają — mało kto wie, fałszywie jest powiadomiony, albo ta wiadomość nic go nie obchodzi.

Mówi o tem pan Balcer z kowalską do-  
bitnością:

Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało,  
Jeno ty sama i twe miłowanie!

. . . . .  
. . . . .

Gdyś jest, a co mi? Powietrze mnie samo  
Nosi, by ptaka nad gniazdem usłanem,  
Jak król słoneczną odziewam się łamą,  
W polu, na łące, w kuźni — jestem panem!  
Lecz, gdy cię braknie, kiedy czarną bramą  
Wyszedłem z ciebie, staje się łachmanem  
Poniewieranym wśród ludzkiego roja,  
Że pyta lada kiep: — Gdzie ziemia twoja?"

Na mocy „Jerozolimy“ i „Gösty Berling“  
uznała Szwecja Selmę Lagerlöf jako swoją naro-  
dową poetkę, nie dlatego, by nie było w Szwecji  
równych jej uzdolnień pisarskich, lecz dlatego,  
że jej właśnie danem było wypowiedzieć w spo-  
sób piękny a prosty zbiorową, wspólną duszę  
narodu szwedzkiego w jego warstwie najżywot-  
niejszej. Na mocy tego uznania i dzięki temu,  
że „Jerozolima“ jest opowieścią bohaterską,  
o doskonałych pomnikowych kształtach, przy-  
sługuje jej miano epopei — miano szanowne  
najświetniejszymi tradycjami w historii poezji.

Podobnego stanowiska domaga się w piśmien-  
nictwie polskim arcydzieło Konopnickiej. Trzeba  
je uznać bez zastrzeżenia jako wyraz uczucia  
narodowego. Zarzucano wprawdzie poetce, —  
że jest i tutaj — jak była dawniej — klasowa

i stronicza, że jest poetką wyłącznie ludu polskiego. Nikt o tem chyba nie wątpi, że Konopnicka byłaby umiała wpleść jeszcze kilka nitek w opowiadanie, albo tak gromadą pana Balcera pokierować, by znalazł tam dla siebie tło odpowiednie człowiek oddany całą duszą służbie narodowej, a pochodzący z górnych pokładów społecznych.

Że Konopnicka tego nie zrobiła, nie można jej tego poczytywać za winę poetycką. Przyczyn tej jednostronności należy prawdopodobnie szukać w tajnikach życia uczuciowego poetki. Ale trudno zamilczeć, że dla poematu byłoby lepiej, gdyby tam nie było wcale Zabudy,

„Co po szynkowniach walał swe szlachectwo,  
Aż nagle rozbłysł jak roratna świeca,  
I klejnotowi dał ognia świadectwo“.

Jest on tam rozdźwiękiem, nadto postacią przypadkową i niepotrzebną. Jest bolesnym przeżytkiem, który ustroił na chwilę w jakiś strzępek błyszczący.

Mimo to „Pan Balcer“ nie jest poematem pewnej klasy, lecz wielką pieśnią narodową, wszechpolską. Konopnicka jest tu narodową, jak narodowymi byli nasi najwięksi poeci. Niech każdy przeczyta sobie „Pana Balcera“ głośno i po cichu i niech powie, czy nie uczuł, że Konopnicka mówi tam za niego, że wyraża jego myślenie, jego czucie, może nie codzienne, lecz



w szlachetniejszych drgnieniach, w chwilach podnoszenia się duchowej fali?

Klasyfikacje dzieł poezji i gatunkowanie ich według przyjętych dogmatów nauki o pięknie — to jedno z najwdzięczniejszych zadań krytyki. Czy historyk literatury, dorosły do trudnego swego zadania, nazwie dzieło Konopnickiej epeją, o tem przesądzać trudno. Tem trudniej, że jest to pytanie drugorzędного znaczenia.

W pierwszym rzędzie chodzi zaś o to, czy polski czytelnik dojrzy w ludzie „Pana Balcera” znamiona bohaterstwa narodowego? Sądzę, że odpowiedź wypadnie twierdząco.

Całe życie zarzucano Konopnickiej, że ona lud idealizuje. Pewno znalazły się i w Szwecji takie głosy o „Jerozolimie” Selmy Lagerlöf.

Rzecz jasna, że kto na chłopą patrzy wyłącznie ze stanowiska pracodawcy do robotnika rolnego, robotnika często opieszałego, niewdzięcznego, o odrębnych pojęciach własności — tego poemat Konopnickiej niecierpliwić będzie. Ale kto przeczuwa zadanie poezji, kto się domyśla dróg, jakimi poezja chodzi, ten przed poematem Konopnickiej schyli czoło, jako przed cudownym wyrazem — nie rzeczywistości narodowej — ale ducha tej rzeczywistości, jej istoty. Chłop Bandys albo Zatrata jest zbyt przyziemny i cielesny, by piastować dostojeństwo ducha narodu. Nawet zbiorowa dusza Bandysów i Zatratów

nie dorosła do tego zadania. Dorósł kowal, pan Balcer i dorosli Unici.

„Były tam oczy jako lodu bryły,  
Były tam twarze jakby młotem kute,  
Serca krwią zaszł. i tętniące żyły,  
Pięście zatwardłe w sęk i słowa lute.  
Był naród, który dobył z siebie siły  
Śmiertelnej, wydał swą najwyższą nutę,  
A z wszystkich piersi bił skroś grubej koży,  
Ochfiarowany duch, baranek Boży”.

Reszta — Mazurzy, Kurpie, Wielkopoleanie — pragnąca wrócić do Polski, pracująca krwawo w tym celu, dojrzewa duchowo, czyści się, rośnie tak znacznie, że może stanąć tuż za Unitami, że sięga im prawie do czoła. W chwili, gdy siadają na okręt. stanowią zespół wspaniały, polski legion chłopski.

Konopnicka oddaje ich rodzinnej ziemi.

Bicie serca narodowego nie jest w „Jerozolimie“ tak silne jak u Konopnickiej, bo naród wolny nie wyodrębnił w sobie idei narodowości, jako myśli samozachowawczej a swego najpotężniejszego uczucia.

Gdyby tysiąc Szwedów wracało z Ameryki do Szwecji, pewnoby im Selma Lagerlöf wyszła naprzeciw. Ale nie byłoby wśród nich pana Balcera, niktby tam nie wyciągnął ramion do ziemi ojczystej w tak wielkiem utęsknieniu, niktby nie wołał:

„Idziem do ciebie ziemio, matko nasza,  
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!  
Idziem do ciebie — rzesza twoja ptasza,  
Powracające do gniazd swoich syny...  
Niechaj nas doła jak październik rozprasza.  
Krzykniesz? — Wnet twoje zbiorą się drużyny,  
Przez imię twoje i na twe wołanie  
Lud, wierny tobie, u boku ci stanie.

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Serca się nasze pod stopy twe ścięła,  
Polsko, jaką cię nie widziały duchy!

. . . . .  
. . . . .  
. . . . .

Oto niewiasty mężne Salomonowej przypowieści. O nich powiada król-mędrzec: Przepasały mocą biodra swoje i zmocniły ramiona swoje. Ręce swe ściągnęły do mocnych rzeczy.“

Szwedka i Polka zbudowały nad chłopską chatą kościół, gotyk strzelisty. Tam jedna jedyna wieża idzie w niebo wysoko, prosto, surowo. Tu cały las wieżyc, na oknach święci malowani, z wnętrza rwie się śpiew ogromny. Nad szwedzką świątynią stanęła granitowa Wola-Obowiązek — przy polskim kościele stoi Narodowa Moc i szumią nad nim skrzydła Króla-Ducha.

„Jerozolimę“ czytają wszędzie. Szeroko rozeszła się po świecie wieść o Ingmarach, kmieciach bożych i o tych szwedzkich chłopach, w których upragnienie królestwa Bożego na

ziemi było tak silne, że wyrwało ich z ojczystego zagonu, ich, co w ten zagon aż po pas wrosli i zaprowadziło ich do kraju Chrystusowej męki.

A „Pan Balcer w Brazylii“?

Do krzyża, pod którym spoczywają księgi wieszczce narodu polskiego przyszła kobieta i przyniosła pieśń swoją.

My, cośmy u pochodni pana Balcera zapalili świece swoje, pragniemy, aby i obcoplemienni go poznali, aby uznali i uczcili nasz naród w osobie polskiego kowala i polskiego chłopca. Owa chęć serdeczna, to nie tylko chęć rozgłosu imienia polskiego; to nadewszystko pragnienie, by duch nasz powiał tam, gdzie chce, poza Polskę, by jego tchnienie rozeszło się po świecie.

W wieszczem słowie poezji polskiej, czerwonym od męki, białym od żaru miłości, jest zamknięty ogrom siły psychicznej. Żyje w tem *Słowie* ofiarowany duch narodu.

Walka o naszą sprawę, będąca w dalszym wyniku walką o to, byśmy w zdrowym narodowym istnieniu mogli duchem mnożyć się i rosnać, jest u szczytu swego walką o wyzwolenie *Słowa*.

Na zegarze bieżących wydarzeń nic nam nie zwiastuje upragnionej chwili. Ale ten zegar nie zawsze idzie porównie z zegarem dziejowym, który bije wtedy, kiedy najmniej się spodziewają. Więc „prędko“ lub „późno“, „długo“ lub „krótco“,

to dźwięki niecierpliwe i dziecinne, gdy chodzi o moc czynu i trwania, nie o głódzie przecież, lecz z posiłkiem\*) *sakramentów ziemi i Słowa*.

Nie słodzimy sobie nieszczęścia myśleniem, że jesteśmy narodem wybranym. Jednak nie żaden to majak pięknej, a chorej wyobraźni, lecz niezbita pewność rzeczywistości, że stoimy na straży wielkiego skarbu duchowego, skarbu, o którym dzisiaj prawie tylko my wiemy, w który tylko my z zachwytem patrzymy, który dotąd ukryty.

Gdyby ten skarb wieszczego *Słowa* się wyzwolił, gdyby to *Słowo* na wolności jęło się *sławić*, jęło się *głosić*, jęło się *jawić* wszystkim ludziom — padłaby w świat garść najwspanialszego ziarna. Chuć, która pęta nasz język, toczy świętokradzką walkę z Duchem, bo wieszczę Słowo narodu polskiego poczęte w niepokalanem skrzyżowaniu się *Narodowego Bólu z Wszecmilością* — ma moc, by zapładniać i uświęcać.

Złudne nadzieje tylko słabość mnożą, lecz nie jest to złudą, że działały się i dzieją w historii rzeczy, o których się najzuchwalszym nie śniło.

---

\*) Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, Życie Wieczne, z czystego ziarna pól naszych. I mleka nieoszukańczego dla dzieci! I dla każdego miarę węgla i drzewa, garść lnu i wełny!

Od wszelakich fałszerzy i krzywdzicieli zachowaj nas Boże. Wzbudź w nas siłę do walki z wewnętrznym wrogiem, byśmy zdołali pokonać nędzę i cierpienie!

Gotowi jesteśmy trwać i wytrwać w tym wąwozie, nie licząc dni ani nocy. Wiemy przecież wszyscy, że ta chuć, która pęta nasze *Słowo*, omdleje i zniszczy sama siebie. Więcej spodziewać się nie śmiemy ogólną powszechną nadzieją. Niech jednak kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu wolno będzie pomyśleć, że ta czarna brama na której otwarciu czekamy, rozpaść się może jak zlepek gliny...

. . . . .  
. . . . .

Wtedy otworzą się przed nami szerokie, widne błonia. Wtedy odemkną się drzwi wielkiego *Kościoła Ludów*.

Zbwszy się kajdan, choć ze śladami świeżych ran na rękę, wejdziemy tam, *My Polacy ze Słowem* i w spragnione usta człowieka włożymy *Słowo* jako wiatyk na dalszą drogę *Ducha*.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63









F

8079